

Mocny spektakl o Ukraińcach i Polakach

"Lwów nie oddamy" Katarzyny Szyngiery i Mirosława Wleklego w reż. Katarzyny Szyngiery w Teatrze im. Siemaszkowej w Rzeszowie. Pisze Witold Mrozek w Gazecie Wyborczej.

«Katarzyna Szyngiera nie daje ostatecznych odpowiedzi na pytanie o polsko-ukraińskie relacje, ale pokazuje, że świat jest bardziej skomplikowany niż jedno zdanie z podręcznika. Próba nawiązania dialogu jest dla reżyserki ważniejsza niż radykalne gesty.

Zaczyna się sceną rodzajową, która mogłaby zwiastować teatralny epos o podzielonej wsi czy rozłączonej rodzinie. Sielski rodzinny piknik nad brzegiem Sanu, który rozdziela dawną miejscowość Beniowa na wciąż zamieszkaną część ukraińską i polskie pustkowie. Płyną historie o wysiedleniu, zabieraniu mienia, segregacji.

Wieczoru wspomnień jednak nie będzie. "Lwów nie oddamy" w reżyserii Katarzyny Szyngiery to spektakl nie tylko o przeszłości, nie tylko o tym co, ale też jak pamiętamy i czemu to dziś służy.

Artyści próbują pokazać uprzedzenia na przykładzie teatralnego zespołu, przerysowując stereotypy. Do Rzeszowa przybywa ukraińska aktorka, by zagrać "typową Ukrainkę". A przecież - jak ironicznie mówi Dagny Cipora - każda z koleżanek z zespołu mogłaby to zrobić. Znowu zabierają pracę!

Kogo grzeje Bandera

Oksana Czerkaszyna rozsadza ramy spektaklu charyzmą i energią, miesza języki i burzy poukładane w głowach wzorce myślenia. Opowiada, że słowo "banderowiec" usłyszała pierwszy raz w prorosyjskiej państwowej telewizji ukraińskiej - opisywało ukraińską opozycję. Że później od "banderówek" wyzywał ją - i całą ukraińską część rodziny - mieszkający w Rosji dziadek.

Jej bohaterka nigdy nie słyszała nazwiska "Bandera" tyle razy co w Polsce - dlatego że w stosunku Polaków do Ukraińców poczucie wyższości i pogarda mieszają się z poczuciem historycznej traumy, której Bandera został symbolem. Równie dobrym powodem może być

to, że aktorka pochodzi z Charkowa na wschodzie kraju, gdzie legenda UPA nie jest szczególnie silna.

W końcu Czerkaszyna symbolicznie zwraca polskim widzom Banderę - a właściwie jego wizerunek - mówiąc, że był przecież polskim obywatelem. Ukraiński terroryzm i polska dyskryminacja Ukraińców to elementy historii polskiego państwa. Sami też musimy sobie z nimi radzić.

Dobrze Polakom we Lwowie

Szyngiera i Wleկły wiedzą, o czym mówią - w odróżnieniu od wielu innych twórców teatralnych biorących się za ważne tematy. Korzystają też z metod pracy reportażu, posługując się m.in. wideo.

Na dworcu w Rzeszowie lwowski lekarz opowiada, że czuje się bardziej Ukraińcem, ale też trochę Polakiem i przyjechał odwiedzić przyjaciół. Spontanicznie krewki miejscowy zaczyna krzyczeć na lekarza, żeby nie odbierał ludziom pracy i wracał do siebie.

We Lwowie twórcy rozmawiają z przedstawicielami polskiej mniejszości. Jedni, wychodząc z kościoła, mówią, że "Polska tu wróci" i że to ich marzenie. Inni - że żyje im się dobrze i że decyzja o pozostaniu w mieście była wyrazem zgody na granicę, której kształt jest dziś oczywisty.

To nie są ostateczne odpowiedzi na pytanie o polsko-ukraińskie relacje, ale pokazują, że świat jest skomplikowany, że jego opis nie mieści się w jednozdaniowym wyimku z podręcznika, rodzinnym przekonaniu przekazywanym z pokolenia na pokolenie czy prasowym nagłówku.

Tubylcy tańczą hopaka

Tematy ukraińskie polski teatr porusza rzadko, ale Szyngiera sięga po nie już drugi raz. W "Swarce" powstałej w 2015 r. w Teatrze Polskim w Bydgoszczy razem z Wleկłym podjęła temat rzezi wołyńskiej. Próbowali rozsypywać sploty historii, pamięci, mitu i propagandy, rozmawiając z ostatnimi świadkami, analizując popularne i naukowe publikacje, manipulacje fotografiami czy pamiątkowymi tablicami.

W przedstawieniu "Lwów nie oddamy!" też jest obecna tablica - we wspaniałej satyrycznej scenie wizyty we Lwowie polskiego ministra (Piotr Mieczysław Napieraj), postaci

wzorowanej na Witoldzie Waszczykowski. Minister wszczyną konflikt o to, że w treści tablicy pamiątkowej na budynku dawnego więzienia Polacy obok Niemców i Rosjan zostali zaliczeni do grona okupantów.

Później następuje brawurowo zagrana teatralna fantazja - sen o wizycie idealnej polskiego notabla na Ukrainie. Ministra chlebem i solą wita barwny korowód we wzorzystych ludowych strojach, tańczący hopaka. Tubylcy potakują, gdy minister między kolejnymi toastami wygłasza wujkowe mądrości o dziedzictwie polskich Kresów. Wreszcie na scenę wchodzi symetryczni nacjonaści obu krajów - chórem recytują wspólne credo, stojąc ramię w ramię, jeden z tryzubem, drugi z orłem na piersi.

Frljć minus profanacja

Skądś to znamy. Aktorzy opowiadają o sobie, wychodzą z roli, z którą się nie zgadzają, zwracają się wprost do widza z fikcyjnymi lub prawdziwymi - kto to wie - światopoglądowymi deklaracjami. Wszystko to od kilkunastu miesięcy kojarzy się w Polsce z teatrem Olivera Frljcia, reżysera głośnej "Klątwy" w warszawskim Teatrze Powszechnym.

Jednak Szyngiera pracowała w podobny sposób już przed oprotestowaną stołeczną premierą. Od Frljcia różni ją m.in. specyficzna, niewykluczająca radykalizmu empatia. U bałkańskiego reżysera debata publiczna ma zmieniać się na skutek radykalnego gestu, profanacji, niepokojącego zawieszenia jasnego podziału między prawdą a fikcją.

W teatrze Szyngiery jest z kolei jakaś misjonarska i może nieco naiwna wiara, że można coś przekazać wprost, kogoś "po prostu" przekonać, nawiązać dialog. Można grać ten spektakl dla licealistów - i tak się właśnie w Rzeszowie dzieje.»

""Lwów nie oddamy!" - mocny spektakl o Ukraińcach i Polakach.

Twórcy nie idą ścieżką Frljcia"

Witold Mrozek

Gazeta Wyborcza online

[Link do źródła](#)

31 października 2018